

Władysław Lenart

Z morwowych drzew... : wspomnienia, powroty, anegdoty - animatora kultury lata 1955-2002

Rocznik Kolbuszowski 6, 145-167

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z MORWOWYCH DRZEW....

/wspomnienia, powroty, anegdoty - animatora kultury lata 1955-2002/

Pierwszy upadek-pierwsza drzazga w skroni. Płac targowy miejsce dziecięcych zabaw...i morwy z czarnymi i białymi słodkimi owocami, uwieszonych na gałęziach jak zagubiony ptak...i chrabąszcze, pełno chrabąszczy, łapanych do słoików lub pudełek od zapalek. Pierwsza szmacianka, pęcherz świni wypchany sianem - piłka. Co wtorek targi, tu też rozkładały swoje klamoty wędrownie karuzele ze strzelnicą. Tu spełniało się pierwsze marzenie - jazda karuzelą za pchanie ramion karuzeli...zabawa w wojnę i podchody, kąpienie się w rzeczce Nil...i z górki na pazurki, na sankach na nartach /pożyczonych/, na pupie z „plebańskiej górki"...tuż obok kościoła.. W mieście rozgłaszał wszystko p. Szymon Zieliński, otoczony wianuszkami dzieci uderzając rytmicznie palcami w werbel....odgłosy tamtych dni, tamtych ludzi przywołują w pamięci, chcąc je ocalić od zapomnienia...

Dzieciństwo

Miasto mego urodzenia-Kolbuszowa. Początki wsi Kolbuszowej w XV wieku.

Na przełomie XVII- XVIII wieku Kolbuszowa zmienia kilkakrotnie właścicieli od Stanisława Lubomirskiego, Józefa Karola Lubomirskiego do Aleksandra Sanguszki a potem Tyszkiewiczów- aż do 1944...

Po każdej takiej zmianie miasto coś zyskiwało: a to parafię p.w. Wszystkich Świętych, szkołę parafialną, młyn wodny, browar, już to ośrodek wyrobu mebli kolbuszowskich. W 1690r. prawa miejskie nadał król Jan III Sobieski za zasługi położone przez Józefa Karola Lubomirskiego w bitwie pod Wiedniem. W parafialnym kościele tablica pamiątkowa przypomina to wydarzenie. Na to miasto spojrzeć można z górki od Nowej Wsi, z górki od strony Kupna, i górki od strony Weryni... i wszystko widać jak na dłoni. Do tego miasta, do słońca, powietrza wracam myślami, częstą obecnością mino 600 km oddalenia, Wracam pamięcią do swojej młodości, do ludzi, którzy mnie kształtowali.

Pamiętam, że kiedy wyjeżdżałem do Poznania w 1969.r. Lało jak z cebra. żartując mówiłem do siostry, która mnie odwoziła, że „ziemia kolbuszowska płacze za swoim synem"...

Jest rok 1937-rok moich urodzin. Do chrztu wieziono mnie sankami z dwójką koni, grzęznących po pas w śniegu. Zaprzęg był własnością najlepszego gospodarza w mieście p. Józefa Stępnia, który był chrzestnym ojcem, a matką chrzestną była p. Burek Helena.

W roku 1939 miałem dwa lata. Wybuchła wojna. Matka moja Józefa z domu Siwiec uciekła wraz ze mną i dwoma siostrami Krystyną i Matyldą z płonącego domu, chroniąc się w leju po bombie, wśród świszczących wokół kuł, pocisków, paraliżujących każdy zdrowy odruch.

Ojciec Franciszek Lenart uciekał przed Niemcami aż do Sambora k/Lwowa. Wrócił z uciekinierki dopiero po sześciu tygodniach. Mieszkaliśmy kątem u dziadka Antoniego Lenarta, a później u pp. Korzępów tuż obok cmentarza. Sam cmentarz był czasami miejscem spacerów, ale też miejscem zabaw w chowanego. Były to niewinne zabawy. Tu w kaplicy cmentarnej spoczywają doczesne szczątki hrabiów Tyszkiewiczów - właścicieli Kolbuszowej i okolic.

Rzeka Nil, to podobno pomysł hrabiego, na pamiątkę wojaży do Afryki na polowania albo pomyłka kartograficzna ale niepozorna rzeczka Nil, na wiosnę, zatapiała wszystko wokół, i była prawdziwym utrapieniem dla dorosłych .dla dzieci okazją do brodzenia po wodzie i psikusów. Kapałem się w tej rzeczce, łowiliśmy z kolegami ryby płosząc je, do ustawionego koszyka, nogami...wówczas zamarło życie biologiczne w rzeczce, a dominował, dla wrażliwego nosa, wszechograniczający smród...

Na cmentarzu, można znaleźć pomniki ludzi, którzy brali udział w Powstaniu Styczniowym w 1863 r. m. in. Konstantego Ruczki, a dalej Polaków co ginęli w r. 1939, a później żołnierzy BCH i Armii Krajowej spoczywających, w prostych, drewnianych trumnach, pod tym rozdartym rozpaczą kamienny, orłem bez skrzydeł dłuta p.Zdzisława Osiniaka i napisem „MORITURI SUNT UT LIBERI YIYAMUS” - „UMARLI, ŻEBYŚMY ŻYLI WOLNI”. Tu, w zbiorowej mogile, spoczywa ciało Arseniusza Bryka, serdecznego kolegi mojej siostry Krystyny...

Tu uczyłem się historii, tej którą „krzyżami się mierzy”, i tej najnowszej z niepotrzebnymi ofiarami. Tutaj zobaczyłem pierwszy raz w życiu ciała zabitych młodych ludzi w liczbie ok. 15-tu... czarne punkciki od kuł w głowach, tułowiu, leżących nago, posypanych wapnem, zrzuconych, jak drwa na rozpałkę, w nieładzie, z zastygłą powagą śmierci... Mówiono, że to „banda Lisa”, że to Akowcy.... Pewnym jest jedno, że ubowcy z niezłyką pieczołowitością równali ziemię w miejscu pochówku, bo ciągle rósł grób usypywany z ziemi, ciągle pojawiały się kwiaty, ciągle paliły się znicze pamięciznikały kwiaty, znicze wdeptywano w piasek cmentarny, równano ziemię ... jednego tylko nie udało się zniszczyć - ludzkiej pamięci..... który to był rok 45,46,47.

Ileż jeszcze w nas śladów zdarzeń, nie do końca wyjaśnionych.... kosz-

marów nocnych i krzyku, bo sen nie był snem a rzeczywistość nie wiele odbiegała od tych obrazów.

Pamiętam łapanki, getto Żydów na ul. Piekarskiej, pod lufami Wehrmachtu udział w pogrzebie wszystkich mieszkańców po udanym zamachu na konfidenta Halickiego na własne oczy, stojąc w bramie widziałem uciekających partyzantów, i strzelającego za nimi cywila.... mówiono, że był to Wąsowicz, że podprowadził Halickiego idącego na spacer z ogromnym wilczurem ile w tym domysłów, a ile prawdy?

Ile zabiegów, pieniędzy wymagało ratowanie siostry mojej matki Anny przed wywózką do Niemiec? A te furmanki wywożące Żydów na rozstrzelanie.... na „Kierkut”

Bywało, że szczęśliwy traf ratował ludzi z opresji. Jest łapanka. Niemcy penetrują domy, zabierają ludzi. Mój ojciec schował się w „wygódce” w podwórzu dosłownie w ostatniej chwili... Już nie zdążył ukryć się w piwnicy razem ze mną.

W domu na Piekarskiej mieszkała rodzina p. Płazów z córkami Zofią i Wandą oraz synami Gienkiem, Tadkiem, Bolkiem... Słysząc krzyk: „raus, raus, schnella”... Niemcy wychodzą pierwsi, a za nimi dwaj synowie. Trzeci chowa się za otwartymi drzwiami... zostaje w domu. Dwaj zabrani, skaczą z wiozącego ich samochodu w lesie głogowskim, i w nocy wracają do domu.

Ukryty w piwnicy, na snopkach słomy, słucham wraz z mieszkańcami domu, odgłosów toczącej się walki. Słyszę przerażony szept modlitwy „Pod twoją obronę uciekamy się „....gdy gdzieś w pobliżu spadła bomba...i łoskot upadającej belki stropowej

Przeżyłem prawdziwą wojnę ...i prawdziwe wyzwolenie..... Widziałem radość ludzi i płacz, gdy wkroczyli do miasta żołnierze armii czerwonej. Na kwatery przydzielono nam majora wojsk radzieckich. Zajął najlepszy pokój. My dusiliśmy się w kuchni. Często pijany sprowadzał na noc równie pijaną kobietę w mundurze, i zakłócali spokojny sen.... nierzadko w pijanym widzie zawadzili o wiadro z wodą i był potop....

„Sałaty” jak zobaczyli w baniaku gotujące się mięso, rąbankę, wyciągali je prawie surowe, i z namaszczeniem obgryzali.... „NICZEWO, WSIO W PARIADKIE” W pobliskim budynku gospodarskim był olbrzymi magazyn towarów dla wojska mnie i dzieciom z podwórka najlepiej smakowały „petit berry”.... kiedy żołnierz pilnujący był daleko, wpadaliśmy do środka, i chociaż przez chwilę byliśmy w krainie baśni...

A potem kiedy zawierucha wojenna już się skończyła.... przyszła rzeczywistość. Zdarzenie w autobusie PKS-u na trasie Nowa Dęba - Kolbuszowa. Chciano dokonać samosądu na pracowniku UB Milanowskim. Po prostu chciano go powiesić. Jakimś cudem uniknął kary. Podobno był arcyłotrem... tak jak szef UB Łuczak - spaśna na pysku rozlanym, świnia. Nic z człowieka! Ale nie tylko on jeden. Wielu ludzi z Kolbuszowej, którzy byli w AK siedziało w celi z kapiącą im na głowę wodą, i przechodzili przez

piekło przesłuchań... Zegarmistrz SS-man, żył przez wiele lat w Kolbuszowej....może to był kapo w obozie...aż któregoś dnia, gdzieś w Raniżowie, ktoś go rozpoznał... Uciekał, kluczył... na koniec powiesił się na pasku od spodni w lasku przed Kupnem. Nie miał innego wyjścia, otoczony zwartą nagonką kordonu milicji.

Młodość

Wracam do spraw przyjemniejszych

Ojciec mój Franciszek Lenart był mistrzem szewskim /tak jak dziadek/ co tydzień z dwoma czeladnikami oddawał do sklepu Żyda 30 par butów. Oczywiście przed wojną. Później robił tylko buty dzieciom, rodzinie, najbliższym..^ zajmował się głównie handlem, a także uprawiał hektar ziemi po rodzicach siejąc żyto, sadząc ziemniaki, kapustę, groch itp. To umożliwiło mu w ciągu roku wychować dwa świniaki, trzymać indyki czy kury...

W posesji pp. Korzępów stała kuźnia p. Widuchowskiego.... i jak to dzieciak, błąkałem się pośród różnych stojących tu urządzeń aż jedno nieopatrznie przywaliło mnie...postrachem dzieci była „głupia Helcia” biegająca z rozwianym włosiem i siekierą w ręku. Uciekając chowaliśmy się najczęściej na ganku p. Markiewicza. Ten dom stoi zadbane do dzisiaj. Tu też chodziłem na smakowite jabłka.... a przecież w domu miałem wszystko.

Zapracowani rodzice posłali mnie do tzw. „Ochronki”, a właściwie przedszkola prowadzonego przez siostry zakonne. Mieściło się ono w części budynku, kiedyś oficyny dworskiej /XVII w/, która stanowi dzisiaj Muzeum Kultury Ludowej. Kiedyś w tym zaniedbanym, upadającym budynku mieszkał p. Józef Fraczek lekarz z rodziną, a jeszcze później działała tu wylęgarnia kurcząt. Zapamiętałem jeszcze , że w głębi ogromnego ogrodu stała piękna lipa, a dalej dom stanowiący mieszkanie sióstr zakonnych, a potem ...już tylko fosa, z wodą porośniętą zielskiem, która kiedyś okalała modrzewiowy pałacyk myśliwski Lubomirskich, a teraz otacza ogród p. Tomasza Zielińskiego. Rodzice troszczyli się o nas bardzo. Było o co - prawie piątka dzieci - brat Mieczysław /zm. 1937. r. na dyfteryt/, Krystyna, Matylda, Władysław, i ostatnia latorośl Anastazja. Do dzisiaj pamiętam, jak się miała rodzic, wyprowadzono mnie na podwórze, i tu siedząc w piasku słuchałem jej wrzasku. Wszystkie dzieci nasza Matka rodziła w domu, a odbierała je położna p. Cecylia Dudzińska. To tyle czasu upłynęło....

Niezmiennie, o 5 rano, przy rozpalaniu ognia pod kuchnią, słuchałem nuconej przez moją matkę pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”.... nawet dzisiaj widzę Ją zatopioną w modlitwie, klęczącą przy łóżku z podpartą dłońmi głową ... długo, długo, aż nie skończyła swojej rozmowy z Bogiem. Rozpalanie ognia trwało też kawał czasu - wszystko zależało od porąbanego w kawałki drzewa, czy było suche, czy mokre, czy smolne... i od skórek brzoźowych podpalanych zapalkami... i papierami, Nie było gazu. Lampa naftowa oświecała każdy wieczór. Przy niej się uczyłem. Dopiero w

1948 rozjaśniło mroki światło elektryczne. Świecił tę inwestycję proboszcz miejscowej parafii ks. Józef Fryz. Było światło, było jasno... a potem była radiofonizacja... i w każdym domu głośnik, ba nawet w całym powiecie! Na środku rynku, wysoko na słupie, tuż obok zabytkowej studzienki, też głośnik. Tu siedząc na ławce słuchałem sprawozdań sportowych i urzekającego głosu Bohdana Tomaszewskiego i barwnych opisów zdarzeń z Wyścigu Pokoju. Tu 29 czerwca 1956.r. I tragicznych w skutkach wydarzeń ...a dzisiaj przechodząc przez Plac im. A. Mickiewicza widzę opasane sznurem dwa krzyże - symbol tamtych dni! Wracam do codzienności. Śniadanie szykowane przez matkę było przepyszne - żur z kielbasą wiejską, jajkiem, słoninką i wypiekany przez matkę, w domowym piecu przepyszny chlebem... czasem bywała kawa z mlekiem, kakao... a mleko przynosiła zawsze rano p. Stefania Kaganka. Były też rogale, obwarzanki z makiem z piekarni p. Maksymiliana Korniaty! Te można było jeść nawet bez masła. Przed pójściem do szkoły - tak, tak, w końcu zacząłem chodzić do szkoły Nr 1, służyłem do mszy jako ministrant, a czasami „kalikowałem” na chórze przy miechach, żeby grały organy.

Na uroczystościach kościelnych - procesjach - dziadek i ojciec nosili baldachim, a ja, po przyjeździe z kościoła do domu, brałem do rąk drabkę / miotła z witek brzoźowych/, moczyłem w wiadrze z wodą, i kropiłem co popadło..."Chyba będzie księdzem „ - mówiono. W czasie Wielkanocy ministranci pełnili straż honorową u grobu pańskiego. Ubrani w obcisłe wiatrówki, beret, spodnie pompki na modłę skautów. Wszystko z granatowego sukna. W rękach trzymaliśmy coś w rodzaju włóczni z chorągiewką. Warta zmieniała się co pół lub co godzinę. Obok nas stali strażacy. Mam zachowane do dzisiaj fotografie z tamtego czasu. Graliśmy w piłkę pod opieką ks. katechety Józefa Sułkowskiego. Z innych księży z prawdziwą sympatią wspominam ks. Jana Rzepę/ późniejszy kanclerz Kurii w Tarnowie/, ks. Józefa Cieślę z niezwykle ciekawymi kazaniem dla młodzieży zawsze w niedzielę o godz. 8, z pełnymi ciepła i mądrości. Ciekawą postacią był również ks. Marian Kulinowski, jednakże ks. Cieśla swą grą na skrzypcach zniewalał wszystkich. Ojciec i dziadek pięknie grali na tzw. „guzikowce”, pięknie śpiewali stare, z dawnych lat piosenki, a także kolędy. Słuchałem ich przesiadując na kolanach dziadka. W kościele pięknie grał na organach i przejmująco śpiewał p. Władysław Magda. Z tego zasłuchania w te śpiewy, w tę muzykę, z oglądania i uczestniczenia w kościelnej liturgii - zostało coś we mnie - wrażliwość.

Talent

Z piekarskiej ulicy przenieśliśmy się do własnego domu przy ul. Mickiewicza 37. Ojciec kupił stary, zniszczony dom od wyjeżdżającego do Izraela Żyda p. Abrahama Józefa Krolinka Zuckerbrodta. Reprezentował jego interesy u notariusza p. Zdzisława Dutkiewicza - p. Dawid Ułan. Teraz z

domu miałem „żabi skok” zarówno do kościoła, jak i do szkoły. Już w I klasie grałem w teatrzyku szkolnym role „duszka polnego”, a później „globusa” / wypchany poduszkami z przyczepionymi mapami siedziałem wysoko na szafie. Rola nie tyle trudna, co niebezpieczna, bo można było niechcący spaść na podłogę, a to nic przyjemnego. Przedstawienia odbywały się w sali parafialnej, podobnie jak inne uroczystości np. pierwsze komunie ze wspólnym śniadaniem, na które składał się świetny placek drożdżowy i kawa z mlekiem. Poza tym na stopniach kościoła wspólne zdjęcie, i każdy otrzymywał pamiątkę I Komunii. Rodzice robili również osobne zdjęcia u fotografa p. Franciszka Mazura w specjalnej dekoracji. Nie ma żadnego porównania z tym co dzieje się dzisiaj z tej okazji. To tak na marginesie.

Zespoły artystyczne szkolne prowadziły w szkole nr. 1 p. Maria Mazurowa, a w szkole nr.2 p. Natalia Babkówna /tu uczęszczałem od 5 - 7 klasy na skutek jakiejś rejonizacji/.

Ciekawą postacią, z uwagi na sposób postępowania z niesfornymi uczniami, był ks. Józef Słonina. Wyglądało to mniej więcej tak - delikwenta brał za kołnierz, otwierał drzwi klasy, i pomagając sobie kolaniem, potężnym pchnięciem wyrzucał na korytarz. Delikwent lądował na przeciwległej ścianie korytarza szkolnego. Dyrektor Franciszek Mazur z kolei używał podpalonej trzciny, i albo uderzał kilka razy w wyciągniętą otwartą dłoń, albo trzeba było się kłaść na ławce / często na tyłku, w spodniach, skazany miał ułożone zeszyty lub sweter/, i ciął trzcinką „dupsko”. Unosiły się przy tym kurzu z garderoby, co wywołało salwy śmiechu.

Pani prof. Zofia Gottwaldowa /właścicielka trzech kóz/, nauczycielka historii mówiła tak: „słuchaj Miller, ty i tak nie zrozumiesz tego co będę mówiła, więc idź i narwij akacji moim kózkom”. Uczeń wychodził radośnie uśmiechnięty, i obie strony miały powód do satysfakcji....

Dyr. szkoły nr. 2 Zbigniew Januszewski miał zgoła inny sposób. Jak się zdenerwował potrafił rzucać piórem, kredą w kierunku ucznia przeszkadzającego na lekcji. Uczył nas matematyki oraz patriotyzmu przez powtarzanie wiersza „Kto ty jesteś? Polak mały”!

W szkole odbywało się mnóstwo uroczystości ze śpiewami, tańcami, wierszykami. Bywało że zespoły taneczne występowały na deskach Powiatowego Domu Kultury z krakowiakami, kujawiakami Najpiękniejsze było „święto matki”, i te wianki polnych kwiatów - niezapominajek, kukulek, rumianku, konwalii albo pachnącego bzu...Radośni, biegaliśmy do swoich Mam z tym kwieciem...Trudniejszym problemem było picie tranu. Nie muszę mówić, że każdy ze swoją łyżką podchodził i musiał łykać tran pod ścisłą kontrolą nauczyciela...często ze łzami w oczach. Dzisiaj wiem, że ten tran ratował wielu z nas życie. I tak rosłem. Chłonałem wszystko. Występy znakomitej aktorki Danuty Michałowskiej z Krakowa z poezją, nieodłącznym koncertem Jankiela, i tym co wzrusza w wersach „Pana Tadeusza”

.... „Litwo, ojczyzna moja"...i wierszem Juliana Tuwima „Stoi na stacji lokomotywa"... jak to było powiedziane! Słowo - wspaniale - niczego nie oddaje! Dalej. Wstęp znakomitej aktorki z rodu Trapszow p. Mieczysławy Ćwieklińskiej w sztuce A. Casony „Drzewa umierają stojąc"...

W Kolbuszowej kwitło życie kulturalne w sali parafialnej, w Liceum / parterowy budynek auli ze sceną służył do zajęć sportowych/ oraz w dawnym budynku „Sokoła" czyli Powiatowym Domu Kultury. „Zemstę" Aleksandra Fredry oglądałem właśnie w auli Liceum, wchodząc na gapę przez okno. Pamiętam do dzisiaj znakomite role Cześniaka /Wicek Czyżowski/ oraz Papkina /Tomasz Wepsięć/. Scenografię projektował i wykonał Maciej Skowroński. Przywołując te osoby, by pamięć o nich nie uleciała. Reżyserował przedstawienie prof. Michał Czartoryski. Wszystko co oglądałem rozbudzało moją wyobraźnię. Stąd granie w amatorskim teatrze prowadzonym przez prof. Marię Siedmiograjową czy prof. Michała Czartoryskiego w sztuce Moliera „Szelmstwa Skapena" czy A. Fredry „świeczka zgasła innych, których tytuły dawno uleciały.... W amatorskim zespole teatralnym występowali koi. koi. Halina Skowrońska / moja wielka miłość/, Mieczysław Cieślik, Czesław Dudziński, Hanna Grochala, Zenon Stępień, Józef Rauch, Maria Pietraszek, Barbara Stryczek, Henryka Korniak, Stanisław Salach, Maria Stępień, Wiktor Aleksandrów, Józef Niezgoda, Zofia Świątek i inni. W klasie maturalnej grałem za zgodą dyr. Liceum prof. Juliana Jabłońskiego i wychowawcy klasy prof. Władysława Burkiewicza, rolę Wita Stwosza w sztuce pod tym samym tytułem autorstwa M. Mazurowej. Stroje z epoki wypożyczone zostały z garderób Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. W Teatrze „Syrena" wręczałem kwiaty i składałem gratulacje znakomitemu aktorowi Adolfowi Dymśy, a Kazimierz Krukowski witał naszą wycieczkę licealistów przed kurtyną. Niezwykła postać to prof. Władysław Burkiewicz - wychowawca jedynej męskiej klasy XI a! Były jeszcze dwie żeńskie klasy! Uczył łaciny i języka polskiego. Profesor zaszczepił we mnie miłość do poezji, i teatralnego bakcyła. Był cierpliwy, życzliwym wychowawcą i nauczycielem.

Wiele piszę o sobie, a przecież moje siostry też miały słuch muzyczny, głos i talent. Krystyna śpiewała w Liceum w trio wokalnym z Anną Dąbrowską, Kamilą Magda, i w chórze, a także grała w przedstawieniach teatralnych „Roztwór prof. Pytla" Bruno Klinawera, „Jagusiowe wesele" na motywach „Chłopów" reż. Wł. Burkiewicza, czy w „Jasełkach polskich". Była jednym z aniołów z gwiazdą zdobiącą głowę /są zdjęcia/. Matylda uczyła się grać na skrzypcach, śpiewała w chórze szkolnym, w chórze PDK, a jakby tego było za mało, teraz śpiewa w chórze przykościelnym. Te anielskie i chóralne talenty, przeniosły w dojrzałym życiu, na realizację społecznikowskich pasji i pomoc ludziom. Najmłodsza Anastazja, skończyła Technikum Łączności z wyróżnieniem (złoty zegarek od Ministra/ w Przemysłu, talentów też jej nie zabrakło, a o jej śpiewaniu głośno było

nawet w Ameryce.... oczywiście jak już dorosła i wywędrowała ...Kinga, córka Anastazji, z tycjanowskim kolorem włosów, ukończyła Europejską Szkołę Malarstwa w Warszawie, a w Łodzi poznawała sztukę masażu leczniczego i zbawiennego wpływu kamieni naturalnych, bursztynu,... dziewczyna o niezwyklej wrażliwości. Czas pokaże, czy nie zmarnuje swego talentu malarskiego i rzeźbiarskiego. Z tego co wiem, miała już wystawy w PDK w Kolbuszowej i Galerii w BWA Rzeszowie. Mam kilka jej praw domu - martwą naturę, pejzaż, a także w ołówku rysunek mojej twarzy... Talentami błyszczały Barbara Pedenkowska /filolog/ oraz Ewa Rybka / geodeta/, a przy tym niewiele brakowało im urody. Grzegorz Rybka przepadł gdzieś w Ameryce! Mieliśmy wszyscy, jakąś wewnętrzną potrzebę wyrażania swoich pragnień, uczuć, tęsknot - śpiewem, słowem, muzyką, i o dziwo malarskim pędzlem!!!

Dojrzewanie - matura

Rok 1954. To piękny, ale i trudny czas. Czas ten obfitował w wiele zdarzeń, ale o trzech muszę opowiedzieć. 2 lutego, wszyscy wiedzą, jest święto Matki Boskiej Gromniczej. Nie wiem do dzisiaj, co wstąpiło w trzy klasy maturalne. Dość powiedzieć, że wszyscy poszli na wagary. Otworzyliśmy okna swojej klasy, była zima, rozhuściliśmy piec, który i tak ledwo się kupy trzymał, i ogary poszły w las"... Jedynym, który został w klasie, był przewodniczący ZMP. Dzisiaj jest księdzem. Nie muszę mówić, że ten jeden dzień, mógł zdecydować naszym być albo nie być maturzystą. Groziło nam bardzo wiele. Szczęściem rozsądek naszych pedagogów wziął górę nad emocjami. Drugie zdarzenie miało miejsce na boisku do koszykówki. Patrzyliśmy, bo wśród grających była nowa nauczycielka WF p. Maria Bąk niezwyklej urody. Na młodzieńcach, takich jak my zrobiła duże wrażenie. Nieopacznie, wyrywały nam się słowa - „ale ...”... To wystarczyło żebyśmy mieli kolejne kłopoty. Po pierwszym „występie” mieliśmy teczki na UB, które w roku 1956 niszczone, jak doniosły znajome „wiewiórki”, po drugim zawieszono nas w prawach ucznia na 3 dni! Trzeci „psikus” miał miejsce przed lekcją astronomii, którą wykladała przemiła prof. Mędrkówna.

Była zima. Na parapetach okiennych zalegał śnieg. Wystarczyło sięgnąć ręką, i za chwilę, pięć kuł śnieżnych. Pierwsza kropla nie została zauważona, ale już kilka następnych zamazujących zapisy w dzienniku, trafiła celu. Pani prof. wychodzi z klasy oświadczając: „Jestem zmuszona powiedzieć o tym gorszącym zdarzeniu p. Dyrektorowi”. Lekcji astronomii już nie było. Czy groźba została spełniona - nie wiadomo.

A przecież w latach 50-tych działy się *rzeczy* dla nas zupełnie nie zrozumiałe - rozpędzano chodzących z szopką i gwiazdą kołędników. Pewnego razu, pamiętam, schowaliśmy kołędników we własnym domu, bo za nimi gonili milicjanci, rekrutujący się z pobliskich wsi - Domatkowa, Przedborza czy Nowej Wsi. Mundur, broń, i nadmiar władzy uderzały do głowy

tym wiejskim osiłkom. Bywało, że pod oknami domu stali usłudźni kapusie. Nasłuchiwali zwykle w czasie nadawania audycji „Wolna Europa” czy „Głos Ameryki”. Ojciec ustawicznie słuchał audycji na „Pionierze” na baterie. Wtedy już wiedziałem o Katyniu. Słuchałem Józefa Światły. Trzeba było milczeć. Na domiar złego wszystkiego ojciec otrzymywał listy z Ameryki od siostry. Najważniejsze, że te „piękne czasy” skończyły się. Mam nadzieję, że bezpowrotnie. Doszło do tego, że mój chrześniak Karol Koluszek, syn Anastazji, harcerz, postawił wraz z kolegami na kolbuszowskim cmentarzu symbol - krzyż katyński!

Oczywiście, też cichaczem, bo zmiany na lepsze następowały w naszej ojczyźnie bardzo powoli, a w Kolbuszowej w szczególności.

Zdałem egzamin dojrzałości. Nie warto do tego wracać. Myślałem o studiach. Złożyłem papiery do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Wozilem ze sobą list polecający od dyrektora Liceum. Podczas oczekiwania na wynik egzaminu wstępnego podszedł do mnie młody człowiek. Był to Janusz Gajos. W czasie rozmowy zwierzał się że podchodzi do egzaminu po raz trzeci, żebym się nie przejmował, próbował dalej. Nigdy nie myślałem o powtórnym podejściu do egzaminu, czy podjęciu jakiś starań...widocznie tak miało być. Nigdy nie wracam. Musze jednak wspomnieć moich serdecznych kolegów: Witolda Jasińskiego, Antoniego Fraczka, Mariana Pittnera, Andrzeja Dudzińskiego, Stanisława Tokarza, Romana Tyburczego, Józefa Lisa, Zdzisława Stępnia, Janusza Ta-tuśko, Edwarda Frankiewicza, Mariana Szypułę, Mariana Kaszę, Franciszka Mikołajewicza, Cezarego i Józefa Napiórkowskiego, Tadeusza Dura-ka, Ryszarda Kiwaka... i koleżanki: Henrykę Korniat, Stefanię Sarapuk, Aśkę Serafin, Krystynę Serafin, Irenę Zwierzchowską - córkę Kazimiery Zwierzchowskiej - przez wiele lat kierowniczką Powiatowej Biblioteki. Czas jest nieubłagany!

W pamięci hołubię wszystkich, po których została kruchość fotografii, kruchość imion... Wspominam wszystko, jako najpiękniejszy czas mojego życia. Mógłbym wyznać, jak bohater dramatu Calderona /1600-1681/ „Życie snem” - „Całe życie jest snem, i nawet sny są tylko snem”.

Pierwsze porywy

Podjąłem pracę w Powiatowym Domu Kultury. Działały tu różne zespoły m.in. 40 osobowy chór mieszany /I miejsce na Centralnych Eliminacjach w Olsztynie/ pod batutą prof. Juliana Jabłońskiego. Chór śpiewał m.in. na otwarciu Fabryki Śrub w Łańcucie. Wypełniał całą część artystyczną. Zresztą zasłużenie. Tu z książką honorową w rękach czekałem na odpowiedni moment, by obecny na tej uroczystości premier Piotr Jaroszewicz dokonał wpisu. I udało się.!

Dalej. Grała orkiestra dęta pod kierownictwem p. Walentego Kaziora, zespół estradowy prowadził p. Zenon Stępień - kierownik Powiatowego

Domu Kultury, zaś zespół muzyczny p. Jan Styga, uczeń znakomitego muzyka p. Władysława Czachora. Z piosenką, muzyką, skeczem, monologami, poezją i przedstawieniami teatralnymi odwiedzaliśmy okoliczne miasteczka i wioski. Zacząłem się doksztalcać - kurs reżyserski w Jadwisinie k/ Warszawy w pałacu Radziwiłłów, później Studium Teatralne Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego - specjalizacja teatr. Świetni wykładowcy z różnych dziedzin sztuki np. Krystyna Mazur -dykcja, Zenobiusz Strzelecki - scenografia, Józef Słotwiński, Józef Witold Gruda-Kościakowski /mówił o sobie, że jest szlachciurą/, Zdzisław Dąbrowski, Jerzy Markuszewski - reżyseria. Zajęcia prowadzili też aktorzy stołecznych teatrów m.in. Andrzej Fedorowicz oraz charaktery z atorty. Uczono nas podstawowych uderzeń szablą, kroków tanecznych i tańca, interpretacji tekstów pod kierunkiem p. Wandy Laskowskiej. Odbywały się też zajęcia z teorii literatury, które wykladał p. Lech Sliwonik, a historię sztuki włączał w nas p. Mikołajtis. Wykladała też p. Wanda Szczuka. Poza tym na sesjach oglądaliśmy spektakle teatralne w STS-ie, Teatrze Polskim, Powszechnym, Dramatycznym czy Syrenie. Wszędzie aktorskie znakomitości - Irena Eichlerowna, Jan Swiderski, Gustaw Holubek, Hanna Skarżanka, Elżbieta Barszczewska i inni. Odbywały się również spotkania z aktorami m.in. Tadeuszem Łomnickim, Henrykiem Borowskim itp. Miejscem zakwaterowania był camping nad kanałem miedzeszyńskim (tuż za stadionem Legii). Tu odwiedzali nas wykładowcy m.in. Wojciech Siemion, Ryszard Prac - kierownik Studium, Józef Witold Gruda. Wszystko w cudownej oprawie łuków triumfalnych, kolumn wypożyczonych z magazynów teatralnych. W PDK powołano do życia Klub „Lasowiak”, który oddano we władanie młodzieży, a opiekę programową przekazano w moje ręce. Tu wzrastały młode talenty, tu prezentowali się uzdolnieni Kolbuszowianie, uczęszczający do Technikum Budowlanego w Rzeszowie. Ale nie tylko! Wymienię tutaj: Jana Serafina, Jana Winiarskiego, Zbigniewa Serafina, Barbarę Suszka, Teresę Rolińską, Czesława Dudzińskiego. Grał zespół muzyczny braci Furgałów - Jan , Józef Furgał, Andrzej Furgał utalentowani i niezwykli. Na wieczorach prezentowano teksty satyryczne, a dla urozmaicenia prowadzono różnego rodzaju konkursy. Ta grupa młodych ludzi stanowiła trzon powstałego Teatru Młodych Form, a pierwszym poważnym sprawdzianem był montaż poetycki „Strofy dla Matki” ze scenografią koi. Andrzeja Wróblewskiego, który zakochał się w pięknej Elżbiecie Zielińskiej, i osiadł na stałe w Kolbuszowej. Dzięki mu za Jego społecznikowską pasję. Całość w mojej reżyserii. Sala wypełniona do ostatniego miejsca ciepło przyjęła spektakl. Wyjeżdżałem również do zespołów teatralnych na tzw. Konsultacje m.in. Do Nienadówki, Sokołowa, Raniżowa. Na Centralnych Eliminacjach Recytatorów reprezentowałem województwo rzeszowskie w Gdańsku i Wrocławiu /wspólnie ze Staszkiem Guzkiem - Stan Bory s/. Znałem również i przyjaźniłem się z Tadeuszem Nalepą,

Mirą Kubasińską, Hanną Pasiutówną, Emilią Umińską, Ireną Chudzików-ną, Zofią Bujak, Bogdanem Loeblem, Emilią Rawka, Danutą Borowiecką, Janem Błatkiewiczem, Józefem Onyszkiewiczem, Tadeuszem Wlazłem, Tadeuszem Czwakiem, Zdzisławą Sosnowską, Żyta Czechowską, Tadeuszem Malakiem, Tadeuszem Czarneckim, Marią Mandela, Ryszardem Szetelą, Henryką Kudła, Zbigniewem Umińskim, Bożeną Tychanicz, Marią Buchwald, Zofią Janicką, Marią Stec, Haliną Nusowicz, Zygmuntem Czechowiczem i innymi. Większość moich znajomych to muzycy, poeci, aktorzy, lekarze i pedagodzy. Na scenie PDK występowały zespoły estradowe, a w nich znakomity Bogumił Kobiela /miałem przyjemność rozmawiać z nim po występie/, Skaldowie, Janusz Gniatkowski, Mieczysław Fogg i inni. Systematycznie występowała Rzeszowska Estrada /tu śpiewała piosenki kolbuszowianka Zofia Dziubówna/, Teatr im. W. Siemaszkowej /"Kapelusz pełen deszczu", „Śluby panińskie", a nawet Rzeszowska Orkiestra Symfoniczna pod batutą Janusza Ambrosa. Koncerty wzbogacane były gościnnymi występami solistów baletu m.in. znakomitych Krystyny Mazu-równiej, Witolda Grucy. A teraz ciekawostka. Na jednym z koncertów występował świetnie zapowiadający się baryton p. Andrzej Hiolski. Na tablicy w szatni napisałem kredą słowo „Witamy", jakież było moje zdziwienie gdy po koncercie przeczytałem „Dwanaście placków zjadłem i w Kolbuszowej wpadłem".

W Kolbuszowej było wielu ciekawych ludzi. Do nich zaliczyć należy dr Kazimierza Skowrońskiego. Rozkochany we wszystkim co kolbuszowskie i związane z historią tego miasta. Pamiętam Jego poselskie zabiegi o budowę kolei, która skracala drogę do Warszawy, pamiętam Jego oburzenie, gdy podjęto decyzję o zagospodarowaniu tzw. Górki weryńskiej" pod budownictwo mieszkaniowe. Był posłem na Sejm spod „Znaku". Znał wiele frapujących historii związanych bezpośrednio z rodami lub krewniakami, które się tu zadomowiły. Pan Maciej Skowroński był bratankiem w/w, a synem Jana Skowrońskiego - prof. biologii. Dzięki jego staraniom powstało Muzeum Lasowiaków w dawnej synagodze i skansen w pobliżu stawów rybnych. Piękną postacią był p. Wiktor Mazurkiewicz. W jego pracowni oglądałem w towarzystwie Kazimierza i Macieja Skowrońskich przepiękne kasety fornirowane i bogato intarsjowane motywami geometrycznymi, figuralnymi, roślinnymi. Akurat - nasza wizyta zbiegła się z wykonywanym *przez* mistrza dla Belwederu istnego cacka - stołu z 3000 kawałków z białego dębu i hebanu ukształtowanego w potężną szachownicę. Wiktor Mazurkiewicz, przemiły człowiek, był ostatnim twórcą słynnych wykonywanych od 2 pól. XVII w. „mebli kolbuszowskich". Próby ożywienia tej tradycji / szkoła meblarska/ spaliły na panewce. Niezwykłą postacią była również p. Eugenia Maciągowa, pracownik Muzeum Lasowiaków, a także jedna z założycielek Towarzystwa Kulturalnego im. Juliana Goslara.

Mnie kojarzy się jeszcze z przygotowaniem korowodu historycznych

postaci na majowej imprezie. Miałem w tym przedsięwzięciu swój udział zapowiadając i przedstawiając, zgodnie z scenariuszem, zbliżające się postacie. Poza tym bawiłem się w radiowca. Miałem ciekawą barwę głosu / tembr/ i dobrą dykcję. Dlatego, społecznie zostałem lektorem w Powiatowym Radiowęźle. Nadawaliśmy wiadomości lokalne, trochę muzyki, a często pogadanki historyczne drą Kazimierza Skowrońskiego. Często autor czytał sam, ale bywało, że na mnie spadał ten obowiązek, a zawsze był to rękopis, który trzeba było porządnie naczytać się wcześniej, by móc później czytać bez zająknięcia. Dzięki mnie w r. 1956 przed mikrofonami radiowęźła śpiewał chór męski PDK kolędy. Rzecz to niezwykła zważywszy na czas w którym żyliśmy. Przewodniczący PRN p. Władysław Kukulski chciał przyznać mi brązowy medal zasługi za osiągnięcia w pracy ale ... grzecznie odmówiłem. Te ciągoty radiowe uwidoczniły się u mnie w szerszym zakresie w Poznaniu. W Kolbuszowej tylko jeden jedyny raz zrobiłem audycję satyryczną ze śpiewanymi kupletami. Cóż panowie szlachta, z niepełnym podstawowym w radzie miejskiej, obrazili się, a chodzili na skargę do przedstawiciela „przodującej klasy robotniczej”. Moją osobistą zasługą było przywrócenie do dawnej świetności chóru PDK po śmierci p. Juliana Jabłońskiego. Dyrygentem został Bolesław Antoniak / muzyk Rzeszowskiej Filharmonii/. Cały zamiar, miał swoje oparcie w chęci wspólnego śpiewania przez członków chóru - Walentego Kaziora, Juliana Chodkiewicza, Danuty Książkowej, Marii Gródeckiej, Eugenii Serwańskiej, Zdzisława Skowrońskiego, Braci - Furgalów - Stanisława, Jana, Izydora, Mieczysława Kreta, Mieczysława Cieślika itp. Stąd kwiaty na grobie J. Jabłońskiego, znicze i przyrzeczenie ożywienia chóru. Pisałem również do tygodnika „Za i Przeciw”, artykuły: „Lasowiacy / na tytułowej stronie/, oraz Jubileusz Kacperka”. Przypomnę tutaj słowa prof. Władysława Burkiewicza, co sądził o pracy tego Teatru : „ Stare, półwieczne „dzieci” też dziękują serdecznie za bardzo miłe przeżycia estetyczne. Piękne dekoracje, doskonałe lalki, dobrany zespół artystyczny. Repertuar pomysłowy, artystyczne opracowanie tekstu. Przyjeżdżajcie do nas jak najczęściej - cytuję „Za i Przeciw” czerwiec 1960.r. Dodam tylko, że dyrektorem Teatru była prof. Maria Siedmiograjowa. Człowiek o niezwykłej kulturze i wrażliwości, no i sekretarz Związku Literatów Polskich w Rzeszowie. Zawsze traktowała mnie jak syna, nawet i wtedy, kiedy przestałem bawić się w teatr, a spotykaliśmy się przypadkowo w Kolbuszowej, zawsze proszony byłem na szarlotkę i dobrą herbatkę. Nie wszyscy mieli to szczęście otrzymać zbiór opowiadań pt. „Tomkowe szczęście” z własnoręczną dedykacją autorki. O wielkości Pani Profesor niech zaświadczy list, który otrzymałem I. X. 73.r. Cytuję: " Miły Władku, nie myśl, że zapomniałam o Twojej uroczystości, zawiadomienie stało na honorowym miejscu na stole, ale po prostu wszystko sprzysięgło się w tym dniu na to, żebym nie zdażyła. Myślę jednak, że nie to jest ważne. Zwyczajne telegramy nawet na tzw. Ozdobnych blankie-

tach to oczywiście wygoda, ale ja miałam szczerzy zamiar napisać list i dlatego nie jestem punktualna. Ponoć życzenia ślubne są ważne przez cały tzw. Miodowy miesiąc i to mię pociesza. Poza tym myślę, że Ty i Twoja Małżonka nie jesteście małostkowi i potraficie zrozumieć pewną „nietypowość” takich ludzi, jak ja, co to nie bardzo chodzą przytomnie po ziemi. Życzę wam dużo, dużo jasnych, pogodnych dni, grona szczerych oddanych przyjaciół, o których tak bardzo w dzisiejszych czasach trudno, wzajemnej miłości, która potrafi nie tylko radować się szczęściem, ale pomoże znieść również z pogodą wszystkie dolegliwości trudnego życia. Jednym słowem /a raczej zdaniem! / **BĄDŹCIE SZCZĘŚLIWI!** ja przed dwoma dniami skończyłam powieść „dla młodszych nastolatków”, jestem zupełnie wykończona nerwowo fizycznie, bo przepisanie na maszynie 210 stron maszynopisu to doprawdy nie fraszka, szczególnie wtedy, kiedy gonią terminy. Teraz trzeba wziąć „odsap” do dalszej pracy. A zdrowie nieszczególne, mam znów kłopoty z sercem i to dość poważne. Jeżeli czas Ci pozwoli, napisz co u Was słychać?

Przesyłam dużo serdeczności dla Twojej Żony i dla Ciebie i jeszcze raz **WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO.** Maria Siedmiograj.

Mówiła często - „Żyję tu i teraz. I troszeczkę na jutro”. Przeczucie ostatniej podróży, jaką odbyła na kolbuszowski cmentarzyk 15 lutego 77,r., jak nomen omen znalazło się w zakończeniu opowiadania „Inne niebo”. Kiedy stary człowiek zmęczony miastem, wrócił na chwilę do rodzinnej wsi i poprosił syna :” Tylko pozwólcie mi tutaj trochę pozostać... Tam synu, inne jest niebo, całkiem inne”... cała była do ludzi, z ludźmi. Mówiła: podsłuchuję życie. I podsłuchiwała właśnie pod kolbuszowskim niebem, w kolbuszowskich piaskach, w wiejskich chałupach. To nas młodych aktorów namawiała w „Kacperku”, byśmy zdobywali dyplomy... Mówiła sama o sobie: „Ja już jestem z epoki wielkich, a czystych tragedii, szukam w sztuce tylko piękna. Boję się brudu. Smutku. Sztukę widzę jako pancierz ochronny przed okrucieństwem życia” Taką Ja, zapamiętałem.... Czy dzisiaj w Kolbuszowej pamięta ktoś o takich ludziach?

W natłoku myśli zapomniałbym o ważnych, moim zdaniem, miejscach zabaw w Kolbuszowej. Obok dawnego budynku Liceum było miejsce zwane „Lipnik”. Rosły tutaj wiekowe lipy i wiązy. Teraz teren ten zajmuje ogródek jordanowski. Na „Lipniku” było zawsze radośnie i wesoło. Drugim miejscem zabaw był lasek sosnowy przed stadionem, trochę później na samym stadionie, jak teraz.

Zwykle organizatorami festynów byli strażacy za komendantury Stanisława Mytycha czy Michała Bystryka. Tutaj przeżyłem nieprzyjemną przygodę, zatrucie pokarmowe, po zjedzeniu dwu kanapek z kiełbasą i serkiem. Nie muszę mówić, że kanapki „kisły”, zrobione wcześniej, w słońcu, i były przedmiotem zainteresowania much itp. Grywały tutaj zespoły muzyczne p. Jana czy Władysława Czachora. Urozmaiceniem festynów był

najczęściej mecz oldboyów z towarzyszącą beczką piwa na środku boiska. Umęczony bieganiami „starszy pan”, mógł na chwilę odsapnąć przy kufel-ku... Atrakcją była przebrana za cygankę p. Niezgodowa - małżonka leśniczego, wróżąca z ręki, z kart oraz słup, na który wdrapywali się co śmielsi młodzianie, by zerwać wiszące na samym szczycie nagrody. Piękne zabawy były w Weryni, a najpiękniejsza była wędrówka pieszo, około 2 km, drogą przy której z obu stron rosły drzewa wiśniowe. Często, wraz z rodzicami, szliśmy na festyn w Kolbuszowej Dolnej, tuż obok szkoły, gdzie rezydował dyr. Tadeusz Pedenkowski. Na podłodze tanecznej szalał z mamą, i nie tylko, mój ojciec przy oberkach, polkach, sztajerach z przytupem. A tancerzem był przednim. Zwykle byliśmy proszeni na wystawny obiad. Często bywalcami tych obiadów byli posłowie itp. Tak się złożyło, że los złączył dwa serduszka Krystyny ?fmansisty/ i Zbigniewa Pedenkowskiego - prawie skończonego prawnika. Były to więc spotkania rodzinne, a honory domu czyniła znakomita gospodyni Maria Pedenkowska. Spacer brzegiem Nilu w jedną i drugą stronę, też dobrze robił. Drugim szwagrem został Eugeniusz Rybka - syn znanego stomatologa . Gienek miał uprawnienia budowlanca, a ślady kierowanych przez niego budów są w wielu miejscach Kolbuszowej i powiatu. Małżonką - siostra Matylda - dyplomowana pielęgniarka. Najpiękniejsze były święta, gdy wszyscy, nawet czasami skłóceni, spotykali się przy świątecznym stole, a szwagrowie realizowali „huksejowe” szaleństwa. Po prostu zaproszeniu mojego ojca nikt nie chciał, i nie mógł odmówić! Później, jak przyjeżdżałem z moimi synami i żoną, Gienek szykował ognisko, były kiełbaski pieczone na patyku, pieczone ziemniaki z masłem i solą..pieczone jabłka i wiele radości...Dzisiaj, zostały po nich tylko te wspomnienia - u Zbyszka zawsze była herbatka, a Gienek zawsze szalał przy ognisku... już odeszli na wieczny sen.

Moją drugą pasją był sport, i jak każdego chłopaka porwała piłka nożna. Najpierw gry odbywały się na placu targowym, później na boisku szkolnym szkoły nr I, a później na „Piaskach na boisku tuż za cmentarzem. Miałem III klasę sportową w szachach, ping-pongu, piłce nożnej. Grywało się też w siatkówkę i koszykówkę. Zamiłowanie do sportu towarzyszyło mi od szmacianki, poprzez szkołę i Szkolny Klub Sportowy w Liceum. Opiekunem tego zrzeszenia był przyjaciel młodzieży prof. Stanisław Kądziałą. Brałem udział w Wojewódzkiej Spartakiadzie Młodzieży Szkolnej w Rzeszowie w reprezentacji Liceum wspólnie z kolegami z klasy. Grałem w „ZŁOTEJ” jedenastce Kolbuszowej w klubach „Start”, „Ogniwo” prowadzonych przez prezesów p. Franciszka Pikulskiego, Zbigniewa Januszewskiego, Wojciecha Marszałka vice przew. PRN/, Edwarda Mytycha. Budowałem wraz z kolegami i prezesami szatnię dla piłkarzy, stojącą do dzisiaj. Asy tej drużyny - Stanisław Czerw, Edward Winiarski, Tadeusz Rybak, Maciej Kurda, Tadeusz Olszowy, Marian i Władysław Burkiewiczowie, Marian i Stanisław Czyżewscy, Zbigniew Kotula / „Buduś”/, Zdzisław Łysiak, Bracia

Mikluskowie, Władysław Kaczanowski, Mieczysław Cieslik, no i Ludwik Roliński z przedwojennej szkoły piłkarskiej, i ten o którym mówić mogę ze czcią, kronikarz wydarzeń sportowych, pasjonat prof. wychowania fizycznego Karol Gródecki, z tym swoim uroczym zawołaniem „moja, moja”...gdy piłka szybowała w kierunku bramki, lub gdy niechcący wpadła do siatki, jak na meczu w Rudniku. Graliśmy wyłącznie dla przyjemności, i dla miasta, które było naszym miastem. A wśród kibiców moja matka, mój ojciec, znajomi... to wszystko dodawało skrzydeł. Gdy coś działo się, nie tak jak potrzeba na boisku, zawsze do akcji wkraczał p. Olszowy - senior, ojciec Tadeusza z nieodłączną parasolką..Dramatyczne zdarzenia, które pamiętam... na treningu grywalismy przeciwko sobie, dwie przypadkowe drużyny... w czasie walki o piłkę Henryk Pytlak biegnący w moim kierunku został uderzony piłką bitą z woleja z kilku metrów... ścięło go z nóg... to był nokaut... przerażeni cuciliśmy go w stawku za bramką. Drugie zdarzenie, równie dramatyczne, miało miejsce na meczu Ogniwo kolbu-szowskie przeciwko Sokołowiance... uciekałem z piłką prawą stroną boiska, minąłem obrońcę, ale ten nie dał za wygraną, i podciął mnie z tyłu tak, że runąłem na murawę jak długi.... podniosłem się, i nie czekając na werdykt sędziego p. Stanisława Hajnasiewicza, wymierzyłem sobie sprawiedliwość... była to pechowa, 13 minuta spotkania, ale i tak wygraliśmy 1:0, gdyż w tym dniu szalał na boisku świetnie dysponowany Tadeusz Rybak. Wspominam również serdecznie p. Stanisława Zielińskiego - działacza sportowego, a głównie sędziego piłkarskiego. Już wtedy byli w Kolbuszowej zapaleni kibice drużyny i bogaci sponsorzy np. p. Julian Turek

- masarz /słynął z doskonałych wyrobów wędliniarskich/, który potrafił za wygrany mecz kupić dla drużyny getry, koszulki, spodenki ... nawet dwa komplety! Tradycyjne rodzinne grania w piłkę podtrzymywał siostrzeniec Tadeusz Pedenkowski, i był w tym piłkarskim fachu znakomity! Niektórzy z kolegów grali później w klubach ligowych np. Stanisław Czerw, Tadeusz Rybak. Wygrywalismy u siebie nawet z III-ligą. Miało to miejsce w meczu o Puchar Polski z Gwardią Rzeszów... a zwycięski mecz przyniósł wynik 2:1 dla naszej drużyny. Strzeliłem pod nieobecność Staszka Czerwa, te dwie bramki. Chciano mnie nawet kupić, ale mnie nie było po drodze z gwardyjskim klubem. Szeroko, profesjonalnie mówi o tym „kronika" prowadzona przez prof. Karola Gródeckiego, dziś już nieobecnego wśród nas.

Mój kolega ze Studium Teatralnego, Wiktor Grąbczewski dziś kolekcjoner i dyrektor „Muzeum Diabła" i wszystkiego co z nim związane powiada: „że jeżeli diabeł chce kogoś kopnąć nie czyni tego swym końskim kopytem - lecz ludzką nogą". Doświadczyłem tego na własnej skórze. Drani kopiących ludzi było w Kolbuszowej wielu. Kapusiów też. Ot, dla podparcia tej tezy, taka drobnostka. Przyjechałem do Rzeszowa i zwykle w barze mlecznym jadłem śniadanie na ulicy 3 Maja. Wychodząc spotyka mnie krajan pracujący w milicji /po cywilu/ i pyta „Cześć. Czy wiesz co się stało”?

odpowiadam - „Nie wiem”. Mówi do mnie „Umarł Stalin”. Odpowiadam „Umarł jeden s. n będzie drugi”! Nie wątpię, że notatka z tej rozmowy gdzieś jest u tych służb. Biedaczek, już nie potwierdzi niczego, bo chyba ze strachu zmarło mu się, gdy do robienia porządku doszła „Solidarność”! Ci panowie, dziś z wysokimi rentami spijają miody, dosłownie i w przenośni, miast siedzieć w jakimś „wariatkowie”. Mnie nie wystarczy tłumaczenie, że „popelniono straszną pomyłkę”! Cóż, niezbadane są wyroki sprawiedliwości, a czas jej nadejścia, tak odległy, jak nasze życie. Odleciałem jak ptak do Poznania z morowych drzew... byłem w Ameryce... i jak ptak powracam do tego samego gniazda - domu rodzinnego w Kolbuszowej. Szukam młodości, uciekającego czasu, pamięci o ludziach, którzy żyli obok mnie, o rodzicach, bliskich, o zdarzeniach, może o błahych, ale nie sposób tego zapomnieć.

Zabawa z lalkami

Po recytatorskich wozajach zaproponowano mi pracę w Państwowym Teatrze Lalki i Aktora „Kacperek” w Rzeszowie. Poznawałem trudną sztukę animacji. A nie było to łatwe. Życzliwość, cierpliwość reżysera p. Stefana Stój akowskiego zaczęła dobrze rokować. Z Teatrem współpracowali jeszcze krakowianie p. Jerzy Radwanek scenograf, p. Zbigniew Jeżewski -muzyk i kompozytor. Wszystkie prace z realizacją pomysłów i kształtowaniem lalek wykonywała p. Roma Stojakowska i p. Irena Kowalik, światłami kierował Edward Balicki, a muzykę skomponowaną grał na akordeonie Marian Klimczak a także Adam Migut.

Na wyjazdach teatru w teren, kilku z nas, adeptów sztuki lalkarskiej, wykonywało prace zespołu technicznego. Wszystko „dla chleba panie, dla chleba”, i dla paru groszy więcej do gaży. Grałem w spektaklach: „Pierścień i róża” W. Thackeraya /przedstawienie prezentowane na Spotkaniach Teatrów Lalkowych Polski Wschodniej w Lublinie/. Śpiewałem, w sali operetki w Lublinie, piękną serenadę, jako królewicz Lulejka. Dalej „Tajemnicza szuflada” J. Wolskiego, „Guignol w tarapatkach” wg Jana Wilkow-skiego. Śpiewałem znaną piosenkę „Panie Janie, panie Janie rano wstań”... oraz „Na ramię broń, już werbel gra więc idź, że serce ma dwadzieścia lat to nic”... oraz wiele innych, związane to było także z główną rolą żywego planu. Wymieniam tylko znaczące pozycje w repertuarze Teatru. Teatr mój - to co kochałem - to sześć lat włóczęgi, to sześć lat małych sukcesów i małych porażek np. egzamin eksternistyczny w Krakowie - dzisiaj brzmi to jak anegdota - komisja pyta - „Lenart”! Egzamin miałem z głowy. W Państwowej Komisji same asy lalkarstwa polskiego, trudno było im znieść „dowcipnego”, i na domiar złego, nieznanego delikwenta. A może uznali to za kpiny z ich autorytetu. Nie wiem. W końcu cały ten teatr schowany za parawanem, wydał mi się coraz bardziej obcy. Odczuwałem coraz większy niedosyt i pustkę. Jakby tego było mało, i tu w Teatrze, znalazł dla siebie

miejsce zwyczajny kapuś. Rok 1966 - śmierć Ojca. Skończyłem zabawę w teatr. Wróciłem do domu pomagać matce w prowadzeniu przedsiębiorstwa handlowego. Rok 1968 - śmierć matki. Skończyła się zabawa lalkami... Zaczęło się życie. Nocne wstawanie, pakowanie towaru na furmankę, wkręcanie wieszaków, jazda na motorowerze na targi do okolicznościowych miast - Majdan Królewski, Mielec, Sędziszów, Sokołów Młp. Łączyłem tę pracę z obowiązkami w godzinach popołudniowych w Powiatowym Domu Kultury w Kolbuszowej. Tak jak kiedyś Ojca, tak teraz matkę i mnie budził stukot biczyśka o szybę domu i zabawne słowa p. Stanisław Rębisia „kurdelemole, przyjechałem”...

Nowe wyzwania - Poznań

W roku 1969 opuściłem dom rodzinny. Poznałem poznaniankę, ożeniłem się na dobre i na złe...Poznań to nie Kolbuszowa. Nie znałem miasta, nie znałem nikogo. Wgryzałem się w tę Wielkopolską ziemię. *Znaleźć* pracę, bądź co bądź obcemu człowiekowi, z poza pewnego kręgu kulturowego, sprawa trudna. Wydeptywałem progi rozmaitych instytucji m.in. byłem z wizytą u sekretarza propagandy. Padło pytanie - „czy należę do PZPR”? odpowiedź - „nie”. W Pałacu Kultury trzeba było mieć legitymację partyjną, i mieć układy. Szukałem dalej. Trafiłem do Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, w przyjazne ręce p. Jerzego Męczyńskiego i p. Barbary Kolasińskiej. Dowiedziałem się, że „Teletra” szuka pracownika kulturalno — oświatowego, tak się to wtedy nazywało. Dzisiaj animator kultury! Telefon - rozmowa i słyszę w słuchawce pytanie: „Czy jestem bezpartyjny”? Potwierdzam i słyszę: „Proszę przyjechać - praca czeka"! A jakie cuda były z pisaniem podania. Musiałem wszystko co dotyczyło prywatnego przedsiębiorstwa ojca wykreślić z tekstu! Uczyłem się życia.

Wpadłem w wir pracy. Klub „Teletra” znajdował się w budynku, który w godzinach do 16-tej stanowił zakładową stołówkę. Na sali wisały fabryczne zegary. Wystrój sali - żaden. Brak firan, kwiatów itp. Trzeba było to zmienić. Udało się dzięki wsparciu i zrozumieniu przewodniczącego Związku Zawodowego p. Jerzego Katarzyńskiego oraz kierownika działu socjalnego p. Feliksa Jurgi. Zaczęło się. Impreza goniła imprezę. Występy Teatrów Małych Form jako skutek współpracy ZZ i Teatru Polskiego w Poznaniu stały się zaczynem do przypomnienia zapomnianej inicjatywy tzw. „Teatru na Rogatkach”. Pogłębiły się moje radiowe ciagoty - pisałem scenariusze do audycji słowno - muzycznych w oparciu o książki i pamiętniki m.in. o bohaterstwie żołnierza polskiego pod Lenino /audycja pod nazw „Polacy pod Lenino"/ na podstawie książki Włodzimierza Sokorskiego. Dla zaspokojenia własnej ciekawości postarałem się o wyciąg z protokołu jury i oceny audycji, a brzmi on tak: „Po wysłuchaniu audycji nadesłanych na konkurs jury postanowiło: I nagrodę przyznać audycji opracowanej przez Społeczną Radę Redakcyjną w WZT „Teletra” zatytułowanej

„Polacy pod Lenino" wyrażając jednocześnie autorom uznanie za dobre przygotowanie i wkład pracy w nadanie audycji dramaturgii, zastosowanie różnorodnych środków wyrazu, dobry poziom merytoryczny i techniczny. Jury zaleca wykorzystanie audycji w radiowęzłach miasta Poznania i województwa". Drugiej nagrody nie przyznano... dopiero dalsze. Inne próby to audycja o dostępne pamiętniki poznaniaków walczących pod Cytadelą i wiele innych, których dźwiękowy zapis mam na taśmach.

Prowadziłem wywiady w zakładowej rozgłośni np. z prezesem Klubu „Admira - Teletra" p. Zdzisławem Ziemkiem. Bywało, że o sprawach błahych lub poważnych prowadziłem rozmowy z dyr. naczelnym inż. Janem Kołodziejczakiem. Gośćmi rozgłośni byli też rozmówcy spoza zakładu jak np. p. Maria Leszkowa - artysta malarz, z okazji prezentacji obrazów w Klubie. Rozmowa dotyczyła szerokiego spectrum spraw m.in. Pracy łączniczki w BCh w Lasach Janowskich w czasie okupacji, a także innych wydarzeń... Pisałem do tygodnika „Łączność" o różnych przejawach życia kulturalnego w zakładzie m.in. o „Teletriadzie" czy wystawach fotoramów np. „Zwyczajny człowiek", „One", „Nasze kobiety", „Dziewczyny i krajobraz". Były to wystawy autorskie fotografików amatorów jak Ryszarda Dolaty, Zbigniewa Krzyżańskiego, Wojciecha Napierały, Andrzeja Kaja, Wojciecha Fliegera i innych. Sekcja fotograficzna była organizatorem prezentacji najlepszych prac pokonkursowych z wystawy „Młodzi 73", „Dziecko" 7147 prac z Biennale/, „Portret dekady o wydarzeniach na Wybrzeżu w Stoczni [Ekspozycja obrazów z Biura Wystaw Artystycznych, autorskie wystawy malarstwa m.in. Ireny Talaga - Persson oraz Edwarda Gąsiora pt. „Kobieta w malarstwie", wystawy książki beletrystycznej w ramach „Dni Oświaty, Kultury, Książki i Prasy" połączone zawsze z kiermaszem książki, a także wystawy książki technicznej w „Dniach Książki Technicznej". Bywali w Klubie przy okazji różnych uroczystości p. Józef Szmeterling — ojciec Anny Jantar, i piszący o Klubie p. Czesław Michniak, Kazimierz Marcinkowski - wzięci dziennikarze i literaci czy Ryszard Łuczak, dyrygent chóru nauczylskiego lub p. Hanna Rubas - dyr. Wydziału Kultury.

Dzieciom klub w swej działalności poświęcał sporo uwagi. Jednakże bywały i różnice poglądów... był rok 1981 i zarówno ZZPŁ i ZZ „Solidarność" deklarowały chęć współpracy, dobre intencje, ale na tym wszystko się kończyło...O tej sprawie pisała w nr. 8 z 30,04,81 r. w biuletynie informacyjnym NSZZ „Solidarność" pt. „Rezonans" w artykule „DO " Barbara Napieralska. Cytuję: „...ale istnieje wiele dziedzin, w których przy odrobinie dobrej woli można się dogadać już dziś. Taką dziedziną może być np. kultura. Bo na razie jest tak, że każdy związek organizuje dla swoich członków. Biedni ci niezorganizowani. Czy o to właśnie chodziło? Na zakładowym Zebraniu Delegatów koi. Lenart zgłosił propozycję stworzenia pewnego funduszu bazowego na kulturę.. Fundusz bazowy powstały z dotacji Solidarności i ZZPŁ służyłby organizowaniu imprez dla wszystkich pra-

cewników Teletry. Co stoi na przeszkodzie powołaniu grupy ludzi z jednego i drugiego związku z rozpoczęciem działalności wraz z Kierownikiem Klubu Zakładowego? Na razie jest tak, że np. o pokrycie kosztów projekcji filmów i bajek dla dzieci koi. Lenart musiał zabiegać parę miesięcy... A podobno wszystkie dzieci są nasze! Jeżeli o dzieciach mowa, to chciałbym przypomnieć, że zbliża się Dzień Dziecka i czas najwyższy aby również w sprawie organizowania tej tradycyjnej już zabawy dla naszych milusińskich zapadły jakieś decyzje. Najgorszym wyjściem z sytuacji byłoby zorganizowanie imprez przez każdy związek tylko dla „swoich” dzieci.” Koniec cytatu. Trzeba było się spierać na argumenty, a skutek był taki... Festyn z okazji Dnia Dziecka na placu przed zakładem, był prawdziwym radosnym świętem wszystkich dzieci pracowników. Członkowie obu związków uwijali się niczym mrówki przy obsłudze konkursowych stanowisk. Okazało się, że można... Atrakcyjne pokazy, konkursy z nagrodami, taksówki do zwiedzania zakładu przy wykorzystaniu melexów /wózków akumulatorowych/, wyścigi na rowerach, na rowerkach, łowienie rybek, koło szczęścia, rzut do bajkowych postaci piłeczką, rzuty lotkami, strzelanie z łuku i wiatrówki /tu rej wodził niezastąpiony p. Jan Korzeniowski/, wata cukrowa, lody „mistrza Brody”, pokazy tresury psów, pokazy karate i na końcu imprezy uspokojenie - bajki na dobranoc. Atrakcją były każdego roku wykonane w zakładzie medale złote, srebrne /sitodruk/ z bohaterami bajek dziecięcych wg projektu Elżbiety Mińskiej. Zabijano się o te pamiątki. Dość powiedzieć, że produkowanych było około 1600 sztuk medali dla spodziewanych na imprezie około 800 dzieci. Przyjeżdżały tutaj również dzieci z Lubonia z Zakładów Chemicznych z dyr. ekonomicznym p. Wiesławą Ziółkowską. I jeszcze - jakby tego wszystkiego było mało - pokazy straży pożarnej, modeli latających. Tu można było usłyszeć popularnego poznańskiego kataryniarza p. Ewarysta Szymankiewicza. Atrakcją był również lot nad Poznaniem z lotniska w Kobylnicy. Były również półkolonie z bogatym programem m.in. filmów, gier, wycieczek autokarowych do muzeów m.in. Arkadego Fiedlara czy Przyrodniczego, przedstawień lalkowych i żywych aktorów. Były baliki noworoczne z tradycyjnym św. Mikołajem czy z okazji tradycyjnego „Podkoziółka” czy „Andrzejek”. Te ostatnie dla większych „dzieci”. Co niedziela filmy dla dzieci w cyklu „Bajkowe spotkania”, raz w miesiącu filmy dla młodzieży i dorosłych /bezpłatnie/. Przed filmami dla młodzieży i dorosłych słowo wstępne wygłaszał redaktor Zdzisław Beryt, i inni znawcy tematyki filmowej jak np. Czesław Rado-miński, Kazimierz Młynarz i inni.

Działały w Klubie zespoły muzyczne np. „Harmonetta” /zespół harmonijek ustnych/. Kierowali tym zespołem Adam Szyja i Jerzy Jaracz. Poza tym grał zespół „Hybrydy”, „Szept”, „Schemat” z Grzegorzem Krawczyńskim, Grzegorzem Zerbstem, Maciejem Szewczykiem, Piotrem Kołodziej-czakiem, „Ex Aeguo” z Romanem Burchackim, Pawłem Zawitajem, „Kwia-

ty" w którym występował obecny zawodowiec Kiś Leszek Stawski. Zespoły te grały przez lata na potańcówkach dla młodzieży, ale brały też czynny udział w Przeglądach Muzycznych, oraz koncertowały w amfiteatrach Poznania czy Konina. Warto wspomnieć o zespole dudziarzy pn. „Dukaty” /od nazwiska braci, którzy w nim grali/, który na Przeglądzie w Lublinie zajął I miejsce za propagowanie muzyki ludowej i regionu wielkopolskiego.

Prezentowały się też zespoły zawodowe np. „Rock and roli” Wojciecha Skowrońskiego, „Pod budą” z Andrzejem Słowikowskim i Anną Treter, „Czwórka poznańska”, „Baby Jagi”, „Malakah”, „Wrzosi”, „Homo homini”...

Plejadę aktorskich znakomitości otwiera Ludwik Sempoliński, Jacek Fedorowicz, Wiesław Gołas, Wojciech Siemion, J. T. Stanisławski, Jan Kobuszewski, Wieńczysław Gliński, Alina Janowska, Zdzisław Leśniak, Jan Kociniak, Andrzej Kopiczyński, Jonasz Kofta, Józef Nowak, Igor Śmiałowski i inni.

Recitale piosenkarskie mieli m.in. Mieczysław Fogg, Barbara Kraftówna, Piotr Szczepanik, Anna Jantar, Danuta Rinn, Iga Cembrzyńska, Tadeusz Ross, Jacek Lech, Magda Bielecka. Towarzyszył wykonawcom i prowadził spotkania p. Jacek Flur. Gościli też tuzy kabaretu i teatru np. Marzena Trybała, Sława Kwaśniewska, Zenon Laskowik, Krzysztof Jaślar, Janusz Rewiński, Leszek Dąbrowski, Lech Łotocki, Michał Grudziński, Jerzy Ofierski, „Stary Marych” - Marian Pogasz /dzisiaj doczekał się pomnika za wspaniałą popularyzację gwary poznańskiej/, Edward Warzecha... a także zespół teatru „Wierzbak”, zespół pieśni i tańca Politechniki Poznańskiej, orkiestra wojskowa Wojsk Lotniczych, orkiestra tramwajarzy pod batutą p. Frankowskiego.

Na scenie Klubu występowali artyści Opery i Operetki Poznańskiej. Same znakomitości. Owocnie rozwijała się współpraca z Poznańską Filharmonią przy organizacji Koncertów Poznańskich za dyrektorowania p. Zdzisława Dworzeckiego. Z okazji 25-lecia Koncertów Poznańskich otrzymałem list od Dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu mgr Jana Stryjskiego - „Składam serdeczne podziękowania za długoletnią pracę na rzecz propagowania kultury muzycznej” itd. Oraz dedykację w ofiarowanej książce - „Panu Władysławowi Lenartowi z podziękowaniem za serce dla muzyki”, a podpisaną przez redaktora Romana Połczyńskiego. Nie dane mi było uczestniczyć w tych uroczystościach. Moje interesy reprezentowała małżonka Maryla Lenart. Byłem w Ameryce. Pamiętano jednak o mnie. O wszystkim w zasadzie już wspominałem, ale uszło mojej uwadze środowisko pisarzy poznańskich, którzy byli gośćmi Klubu i tak: Ewa Najwer, Jerzy Mańkowski autor książki „Najpiękniej umiera gałąź”, Józef Ratajczak, Aleksander Rymkiewicz, Feliks Fornalczyk, Czesław Chruszczewski, Zbigniew Kubikowski, Waclaw Sadkowski, Ryszard Danecki, Tadeusz Becela, Nikos Chadzikokolau, Gerard Gornicki, Edmund Pietryk, Henryk Bereza. Któregoś dnia, coś mnie podkusiło, za-

dzwoniłem do pani Kazimiery Hłakowiczówny, prosząc o spotkanie autorskie w „Teletrze”. W czasie miłej rozmowy dowiedziałem się o kłopotach związanych ze wzrokiem, które takie spotkanie czyniły niemożliwym. Podziękowałem, przeprosiłem, i długo nie mogłem się uspokoić. Od wszystkich lub prawie wszystkich mam dedykacje, na tomikach wierszy, prozy ale szczególnie cieszy mnie dedykacja na książce znakomitego Ludwika Sempolińskiego pt. „Wielcy Artyści Małych Scen” wyd. Czytelnika w r. 1968. Lubiłem czytać książki, kupowałem wiele wydawanych w subskrypcjach klasyków literatury polskiej i światowej.

Mam również kilka pozycji pamiątkarskich mistrzów sceny teatralnej m.in. Ludwika Solskiego, Adam Grzymały-Siedleckiego i innych. Jako młody chłopak rozczytywałem się w książkach Karola Maya, Jacka Londona... później znowu zgłębiałem książki pisarzy amerykańskich-Hemingwaya, Steinbeka, Faulknera itp. To zostało mi do dzisiaj...

Życie towarzyskie w zakładzie „Teletra” kwitło na organizowanych zabawach wydziałowych oraz sylwestrowych. Wspierałem pomocą przy organizowaniu uroczystości Szkoły Podstawowej nr 7 z osiedla im. Kopernika. Stąd dyplom uznania - „za wieloletnią pracę społeczną na rzecz Szkoły i Klasy. Dziękujemy za współpracę z Komitetem Rodzicielskim i pomoc w organizowaniu klasowych imprez i uroczystości”- koniec cytatu. Szkoła nr 88 znajdująca się na ul. Swobody też korzystała z pomocy, gdyż znajdowała się w kręgu oddziaływania Klubu. Często obok pomocy doraźnej dostarczałem bezpłatne bilety na imprezy dla młodzieży. W pięknej sali „Teletry” na 300 osób, z murami i piaskowcem z pojemną sceną wyposażoną w reflektory, z zapleczem scenicznym można było organizować wszystko -imprezy estradowe, sympozja naukowe ogólnopolskie i zagraniczne. Wspomniana wyżej „Teletriada” trwająca przez okres jednego roku z bogactwem pozycji kulturalnych, z wieloma konkurencjami sportowymi, była wydarzeniem szeroko odnotowanym w mediach. Dzięki wysiłkowi wielu społeczników i realizowanym inicjatywom Klub „Teletra”, jako koordynator tych poczynań, otrzymał tytuł Laureata Wojewódzkich Konfrontacji, i uznany został za przodującą placówkę w resorcie łączności jako Laureat na szczeblu ogólnopolskim. Miłym obowiązkiem moim jest przypomnienie grona społeczników z prawdziwego zdarzenia jak - Elżbietę Mińską, Pawła Lusiaka, Michała Frąckowiaka, Jerzego Katarzyńskiego, Jacka Frąckowiaka, Jacka Sliwińskiego, Wojciecha Napierałę, Romana Szymańskiego, Marka Łukaszczyka, Wandę Klenons, Tadeusza Bartoszewskiego, Bogdana Zarembę, Andrzeja Jankowskiego, Ryszarda Pawlaczyka, Wojciecha Kaczorowskiego, Krystynę Balcerzak, Jerzego Mansfelda, Mariana Waszkiewicza, Sławomira Szczepaniaka, Pawła Stawskiego, Stefana Kaczmarka i innych.

Podobnie, napisana moją ręką, z moim pomysłem, tekstami, scenariuszem, reżyserią „Szopka Noworoczna” w r. 1984 stała się przesłanką do

stwierdzenia przez media, że była „Lepsza niż telewizyjna”. O dziwo, do dzisiaj aktualna, wykonana w ciągu trzech godzin siłami amatorów - pracowników zakładu, pasjonatów, którzy do realizacji tego pomysłu zapalili się, i dali z siebie więcej niż można było oczekiwać. Mogę powiedzieć jedno — wspaniali koledzy, koleżanki. Wspaniali ludzie. Dostroił się do tego jedyny w swoim rodzaju człowiek, menadżer - dyrektor Jan Kołodziejczak. W atmosferze życzliwości i poparcia, prawdziwego mecenatu kultury, można było zrobić wszystko. Robiliśmy. Robiłem. Dostrzegano moją pracę, ba nawet nagradzano. Tonąłem w listach gratulacyjnych, podziękowaniach, dyplomach... i marnym wynagrodzeniu, chyba dlatego, żeby mi się w głowie nie przewróciło, z nadmiaru szczęścia.

Sama praca, mimo rozlicznych problemów, była radością, ale to już tak jest, gdy się robi, co się kocha. Nie można mieć wszystkiego. Miałem możliwość obcowania z ludźmi z pierwszych stron gazet: Januszem Gajosem, Edwardem Dziewońkim, Ireną Kwiatkowską, Tadeuszem Łomnickim / rozmowa na ul. Miodowej po wykładzie/, Mirą Sygetyńską - Ziemińską / rodzice mieszkali kiedyś w Kolbuszowej/ rozmowa w Karolinie... a do dzisiaj przechowuję, wstyd się przyznać, zasuszoną niezapominajkę zerwaną przy kamieniach i tablicy upamiętniającej twórcę „Mazowsza” Tadeusza Sygetyńskiego. Anna Walentynowicz współtwórca „Solidarności” oraz Ryszard Reiff byli gośćmi Klubu. Franciszka Starowieyskiego poznałem na lotnisku im. J. Kennediego w Nowym Jorku. Na 11.000 metrów, nad oceanem atlantyckim, w czasie lotu, znakomity artysta malarz rediseem napisał na kartce papieru dedykację ze słowami: „ na pamiątkę wspólnej podróży”... pamiętam, że koniecznie chciał siedzieć przy oknie...nie uległem... stąd widziałem najpiękniejszy wschód słońca... różową smugę światła ni czym dywan dotykający lecącego samolotu, coraz szerszy, coraz piękniejszy... na tej granicy szarości jeszcze nie świtu, ale i nie zmierzchu... między dwoma światami...

Czego się dorobiłem? Wspólnego z Małżonką Marylą Lenart mieszkania, dwóch synów: Mikołaja / Akademia Ekonomiczna/ i Błażeja / Politechnika Poznańska/. Dla mnie to największy dar niebios. Nie wybudowałem domu, jak każdy prawdziwy mężczyzna, ale wybudowałem garaż, posadziłem kilkanaście krzewów, młode sosny, akacje, klony, kasztana...w tym trzy dęby i jarzębinę - symbol trwania mojej rodziny... i z tego też się cieszę. Wspominam z czułością mojego psa Magnusa - boksera, którego odejście po 12 latach życia, było dla domowników ciężkim przeżyciem... pękło mu serce...

Gdyby ktoś wcześniej, powiedział mi, że będę miał takie barwne życie — nie uwierzyłbym.

Kiedyś, jako chłopak, byłem z siostrą wróżki mieszkającej obok, po sąsiedzku. Nazywała się Gola... była starszą kobietą... kładła karty, czytała z ręki ... przekładała te karty na kupki lewą ręką, do siebie... pamię-

tam, że wróżąc mi, w pewnym momencie, skończyła kabałę...nic mi nie mówiąc. Co ją tak przestraszyło? Czy wszystko można ocalić od zapomnienia? Pewnikiem, nie. Zostały jednak przyjaźnie w Przemyślu, Lublinie, Sandomierzu, Sanoku, Jaśle, Gorlicach itd., wycinki gazet, afisze, zdjęcia, kasety z nagraniami rozmów, audycji...i na dodatek, pamięć. To sprawiło, że mogę ocalić „COS” o przyjaciółach z Małopolski i Wielkopolski. Pierwszy wypadek, że Małopolanin...Wielkopolaninem! I ta świadomość, że zawsze można spotkać lepszych lub gorszych od siebie. Byle nie głupszych... i wrednych. Zawsze dawałem opór złości, mówiąc głośno co myślę. Pomagała mi w tym wyniesiona z domu bezpośredniość, otwartość oraz zasada życiowa mojego Ojca: „Czcij góry, mosty, a będziesz miał grzbiety prosty”. Czy spełniły się moje marzenia? Niech to pytanie zostanie we mnie... nieodpowiedzialne. To wszystko. Czasami jeszcze zrywam się do lotu... w prace organizacyjne związane z XXV-leciem osiedla im. M. Kopernika, a przy tej okazji, nowe znajomości rodem z osiedla, teraz odkryte jak: uprawiające rzeźbę, grafikę, rysujące nastrojowe pejzaże i kwiaty Panie: Barbara Kamyszek - Gieburowska, Irena Rosińska - Melnik, Delfina Szczeber-Jaźwińska /pedagogzy, po studiach na PWSSP w Poznaniu/, a także Jadwiga Antonina Mikurenda oraz Panowie: Adam Gołombowski - niezwykle witrażysta, i dyrygent Chóru Nauczycieli m. Poznania im. Karola Krupińskiego Eligiusz Szczepaniak z naszym powitaniem „A chory anielskie niech śpiewają”

Poza tym opracowanie materiałów do jubileuszowego wydania gazety troski o grupy „aerobiku”, i prowadzące zajęcia p. Simonę Jankiewicz, Ewę Murawską, Samantą Miczajdę, Katarzynę Maciałczyk, pisanie do tygodnika „Angora” na bulwersujące mnie tematy i „Gończ Osiedlowego”, czy „pichcenie” wierszyków refleksyjnych, czasem frywolnych, albo bawienie się w konferansjera na jubileuszowej imprezie lub festynie „Niedziela w Parku” lub sali Klubu wspominam kolegów z Klubu „Kopernik,, - Andrzeja Szłapińskiego, Krzysztofa Żurawskiego, Pawła Rogalskiego Ryszarda Menke. Byłbym zapomniiał... teraz czasem gram w bilard ... bo jak mawiał Willie Hope - amerykański bilardzista wszechczasów - „są dwie rzeczy najważniejsze - żarcie jest konieczne, aby żyć. Bilard zaś, by odczuć przyjemność i filozoficzną głębię życia”. Zapytany, gdzie na stole bilardowym znajduje miejsce dla filozofii, odrzekł - „Życie to nieustanna gra, jak bilard. Wszyscy jesteśmy jak bile. Nikt z nas nie osiągnie celu, nie będąc najpierw bitym”. Potwierdza to cała moja 43-letnia praca na niwie kultury. Amen.

*P-ń 27 czerwca 2001. r.
Napisał Wł. Lenart*